

# Prolog

Gdy stajesz w obliczu śmierci, zazwyczaj jesteś spokojny. W ostatnim momencie swojego życia nie walczysz, nie wydajesz z siebie żadnego żałosnego krzyku. Poddajesz się. Czekasz na to, co ma nadejść.

Nagle w twoim sercu pojawia się nikła isierka nadziei, że to nie definitywny koniec, że istnieje coś „po”, a koszmar, który właśnie przeżywasz, wkrótce dobiegnie końca.

Wiele osób najbardziej lęka się śmierci. Ja uważałam, że jest coś znacznie gorszego.

Życie.

Życie z przytłaczającym poczuciem winy. Z demonami, które siedzą w twojej głowie. Potworami, idealnie skrytymi przed światem zewnętrznym, które wyniszczają cię dzień po dniu. W takiej sytuacji śmierć jest nieosiągalnym marzeniem – nieosiągalnym przez lęk, który niemal przez całą dobę paraliżuje cię od środka. Nie masz odwagi, by wykonać krok, który doprowadzi cię do upragnionego spokoju.

Tkwiłam w tym dziwnym stanie od ponad dwóch lat, aż poczułam coś innego niż strach, smutek, niepokój czy

złość. To wrażenie było tak ulotne, że nie zdążyłam go w pełni zarejestrować, ale dzięki niemu pozwoliłam sobie na wzięcie głębokiego wdechu. Pierwszego od wielu miesięcy.

Spojrzałam na zatokę San Diego, która pięknie mieniła się kolorami zachodzącego słońca. Pamiętałam każdą szczęśliwą chwilę, którą tu spędziłam, lecz to sprawiało, że mój ból był jeszcze dotkliwszy.

Pierwsze załamanie przesłam, gdy zmarł tata. Wtedy część mojego świata rozsypała się w drobny mak, ale miałam przy sobie kogoś, kto doskonale mnie rozumiał i dzielił ze mną rozpacz. Podzielona na pół pustka po stracie była łatwiejsza do zniesienia. Po wypadku zostałam z matką, która wołała zapomnieć i ignorować niespełniającą jej oczekiwań córkę. Tak naprawdę byłam sama.

Zamknęłam oczy, starając się zapamiętać ten widok na zawsze. Nie byłam już Eleną Lamieux, krwią z krwi światowej sławy modelki ani najpopularniejszą dziewczyną w szkole. Ona zginęła dwa lata temu w wypadku samochodowym, który nigdy nie powinien był się wydarzyć. Nie miałam pojęcia, kim byłam, ledwie rozpoznawałam swoją twarz w lustrze, jednak gdy stałam nad połyskującą milionem barw rzeką, poczułam, że powinnam zawalczyć o to, kim mogłabym być. Nie zasługiwałam na szczęście, ale w głębi serca czułam, że Simon właśnie tego by dla mnie chciał.

*Wstanę z kolan* – obiecałam mu w myślach, taszcząc za sobą wielką walizkę, do której spakowałam całe swoje dotychczasowe życie.

Rozejrzałam się po dziwnym pomieszczeniu. Stałam na podwyższeniu, przed sobą miałam mównicę z wielkim mikrofonem, a dookoła panowała ciemność. Naraz mrok rozproszyło intensywne światło. Z trudem dostrzegłam wielki reflektor, który był skierowany prosto na mnie. Przymknęłam powieki, nie chcąc dopuścić do tego, by bolesna jasność jeszcze bardziej mnie oślepiła.

– Nazywam się Elena Lamieux – usłyszałam własny głos. – Właśnie zdiagnozowano u mnie depresję, silne zaburzenia lękowe i agorafobię.

– Cześć, Eleno! – ryknął tłum, patrząc na mnie nieobecny wzrokiem.

Nie miałam pojęcia, jakim cudem udało mi się dostrzec ich twarze, ale widziałam każdą wpatrującą się we mnie gębę. Wyglądali jak wyrwani z taniego horroru o zombie. Biel ich skóry mocno kontrastowała z ciemnymi cieniami pod oczami. Kołysali się na boki, jakby nie mogli ustać stabilnie, a ich oblicza nie wyrażały absolutnie żadnej emocji.

– Dwa lata temu mój brat bliźniak zginął w wypadku. Jestem tu, bo nie wiem, jak mam z tym żyć. Nie chcę żyć bez niego.

– Winna! – wrzasnął ktoś z tyłu sali. – To nie był wypadek, tylko twoja wina! Nie zasługujesz na życie. Nie zasługujesz nawet na śmierć!

– Winna! Winna! – zawtórowała mu publiczność.

Upiorne twarze postaci wykrzywiły się w grymasie złości. Każda z nich miała na głowie białą perukę, a w ręce trzymała drewniany młotek, którym walił w blat. Poczułam, że tracę grunt pod nogami i spadam w nicość. Sala rozmyła się nagle, pozostawiając po sobie tylko ciemność, która otuliła mnie jak kokon, dając ulotne poczucie bezpieczeństwa. Ciemność, która była moim wybawieniem...

Natrętny dźwięk zaczął przedzierać się do mojego umysłu, nakazując, bym otworzyła oczy. Chciał wyrwać mnie z błogiej pustki, w której się znalazłam i w której było mi zadziwiająco dobrze. Niechętnie uchyliłam powiekę, by zerknąć na telefon, który od dobrych kilku minut wygrywał irytującą melodyjkę budzika.

– Rany, co za powalony koszmar... – mruknęłam.

Wyłączyłam alarm i przekręciłam się na drugi bok, próbując ponownie zasnąć. Tym razem przeszkodził mi dźwięk SMS-a. Westchnęłam i przetarłam twarz dłońmi, po czym sięgnęłam po iPhone'a.

**L.V.:** Eleno, dziś wyjątkowy dzień! Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! Mamy dla Ciebie prezent: – 20% zniżki na cały asortyment z kodem URODZINY. Do wykorzystania stacjonarnie i on-line.

Lauren Vidal była jedną z moich ulubionych francuskich marek odzieżowych. Kiedyś, jeszcze w poprzednim życiu, nie mogłam doczekać się tych wiadomości. To była jedyna okazja, by odrobinę zaoszczędzić na ekskluzywnych zakupach. Nie potrzebowałam promocji, by rozkoszować się luksusowymi ubraniami, ale docenienie stałych klientów było czymś niesamowicie miłym. Tego poranka przeklęty SMS sprawił, że zapragnęłam zakopać się pod kołdrą i zapaść w sen zimowy. Najlepiej kilkuletni. Już dawno przestałam zaprzętać sobie głowę czymś tak prozaicznym jak wygląd zewnętrzny. Pozory nie miały absolutnie żadnego znaczenia, gdy maska pewnej siebie gwiazdy opadła i każdy zobaczył, do czego doprowadziła mnie rozpacz.

Szybko przejrzałam powiadomienia w mediach społecznościowych, łudząc się, że ktoś z dawnych znajomych złożył mi życzenia urodzinowe, choćby z czystej przyzwyczajenia. Niestety, poza wiadomością od L.V. nie znalazłam nic. Zrobiło mi się przykro, być może odrobinę bardziej niż powinno.

Kiedyś byłam popularna, otaczałam się licznymi znajomymi i – mimo swojej powierzchowności – byłam do nich przywiązana. Im jednak łatwo było wymazać mnie z pamięci, co nawet rozumiałam. Nikt nie chciał użerać się z dziewczyną, która pogrążyła się w żałobie znacznie głębszej, niż mieściłoby się to w ogólnie przyjętych normach społecznych. Moja matka również się ode mnie oddaliła, jednak tego nie byłam w stanie pojąć. Matczyna miłość powinna być silna, bezwarunkowa

i przede wszystkim powinna trwać, nie bacząc na okoliczności. Jako córka Bridget Lamieux nie mogłam na to liczyć.

Rozmyślania o matce przypomniały mi, co planowałam zrobić, gdy tylko skończę dwadzieścia jeden lat. Odkrywając w sobie od dawna nieznane mi pokłady energii, zerwałam z siebie kołdrę, zeskoczyłam z łóżka i wpadłam na walizkę, którą z niewiadomych przyczyn postanowiłam zostawić w sypialni. Zapewne to była zemsta opiekuńczych duchów przeprowadzek za to, że od dwóch tygodni nie zrobiłam nic, by się rozpakować.

– Psia jego mać! – krzyknęłam, odruchowo masując obolałą łydkę, i natychmiast zapragnęłam cofnąć te słowa.

Gdy byliśmy dziećmi, Simon ubzdurał sobie, że pierwsze zdanie wypowiedziane w dniu urodzin ma magiczną moc. „Psia mać”, czymkolwiek była, nie wróżyła nic dobrego. Swoją drogą bardziej do dupy chyba już nie mogło być. Mimo to poczułam lęk, od którego zjeżyły mi się włoski na karku.

Psychiatra ostrzegał, że pierwsze tygodnie leczenia mogą być trudne, na co miałam ochotę wybuchnąć gorzkim śmiechem. Chyba nie zdawał sobie sprawy, że sam fakt stawienia się na wizycie oznaczał, że sięgnęłam dna. Całkowicie odizolowałam się od świata, który przerażał mnie swoją intensywnością. Ataki paniki były tak częste, że miałam wrażenie, iż trwają bez końca. Milion razy rozmyślałam nad swoją śmiercią i gdyby nie obietnica, którą złożyłam przy zatoce, w końcu znalazłabym w sobie

odwagę, by zakończyć ten koszmar. Jednak słowo dane bratu było dla mnie święte. Gdybym się poddała, Simon raczej nie powitałby mnie z otwartymi ramionami w magicznych zaświatach. Właśnie dlatego postanowiłam poszukać pomocy. Zapisałam się do lekarza, który przyjmował swoich pacjentów również on-line, co było jednocześnie wybawieniem i niemałym wyzwaniem. Nawet siedząc przed ekranem laptopa w znajomej i bezpiecznej przestrzeni przez trzydzieści minut nie byłam w stanie uspokoić się na tyle, by bez emocji porozmawiać z psychiatrą. Wtedy padła decyzja o farmakologii, której za wszelką cenę chciałam uniknąć.

Wtedy myślałam, że to koniec. Teraz, na własnej skórze przekonałam się, w jak wielkim błędzie byłam. Cały świat zaczął tańczyć mi przed oczami, poczułam mdłości, a nastrój zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni. Pobiełam do łazienki i drżącymi dłońmi obmyłam twarz zimną wodą. Wyjęłam z szafki dzienną porcję tabletek i nachyliłam się do kranu, by je popić. To był szczególny dzień i nie mogłam pozwolić, by efekty uboczne leków pozbawiły mnie ekscytacji, którą czułam jeszcze kilka minut temu.

Przeprowadzka miała być ucieczką od matki. Od miesięcy swoim zachowaniem popychała mnie w stronę przepaści, na której skraju niebezpiecznie się kołysałam. Bridget nie rozumiała mnie. Ba, nawet nie próbowała zrozumieć. Gdy przestałam być idealną córką, stałam się dla niej niewidzialna. Sławna Lamieux nie mogła pozwolić sobie na miłość do kogoś, kto nie wpisywał

się w wypracowany przez nią obraz marki osobistej. Apartament, który kupiłam, by się od niej odseparować, był zaledwie niewielkim krokiem, jednak przyszła pora na skok, na pierwszą dorosłą decyzję.

Wróciłam do przestronnego salonu i rozsiadłam się na kanapie. W końcu miałam swoje miejsce na ziemi, w którym nie było wygórowanych oczekiwań i rozkazów. Zerknęłam w okno, z którego miałabym idealny widok na zatokę La Jolla, gdyby nie fakt, że przydzielono mi chyba najgorszy z możliwych apartamentów. Zamiast podziwiać widoki, które kochałam, spoglądałam na liście ogromnej palmy, kołyszące się na wietrze i przysłaniające mi cały krajobraz.

Otworzyłam laptop i znalazłam w wyszukiwarce stronę odpowiedniego urzędu. Czy mój pomysł był dziecinny i podyktowany przez chorą potrzebę zrobienia na złość rodzicielce? Być może. Nie zmieniało to faktu, że to był najlepszy prezent urodzinowy, jaki mogłam sobie sprawić. Jęk zawodu wyrwał się z moich ust, gdy odkryłam, że muszę dokładnie uzasadnić swoją prośbę. Wydrukowałam dokumenty i zaczęłam je skrupulatnie wypełniać, gryząc przy tym skuwkę długopisu. Postawiłam na szczerość. Po chwili, niesamowicie z siebie dumna, ładowałam dokumenty do dużej koperty. Cieszyłam się, że ominie mnie osobista wizyta w urzędzie, bo na samą myśl o nieznanym mi miejscu robiło mi się słabo ze zdenerwowania. Rozejrzałam się po mieszkaniu w poszukiwaniu ciuchów na przebranie. Wygrzebałam z walizki wygodne spodnie dresowe,

zwiewną białą bluzkę i czmychnęłam do łazienki, by się przebrać.

Dziesięć minut później byłam gotowa do wyjścia. W przedpokoju złapałam za plecak, z którym nigdy się nie rozstawałam i wyszłam z mieszkania wprost na rozgrzane słońcem ulice San Diego. Odwróciłam się w lewo, a widok przede mną momentalnie nappełnił mnie spokojem, którego tak bardzo potrzebowałam.

W dole ulicy, tuż za dziesiątkami aut przy niej zaparkowanych, majaczyła zatoka. Wielu ludzi sprzedaloby nerkę, by mieszkać w takim miejscu, a ja chętnie bym się z nimi zamieniła. Za względnie normalne życie, które wiodłam jeszcze kilka lat temu, oddałabym nie tylko nerkę, ale i płuco, i może część wątroby. Tak przyziemne rzeczy jak wypasiona chata nie miały dla mnie żadnego znaczenia.

Zsunęłam na nos okulary przeciwsłoneczne i szybkim krokiem skierowałam się w stronę skrzynki na listy, która na szczęście znajdowała się nieopodal. Wrzuciłam do niej kopertę i poczułam się tak, jakbym pozbyła się przynajmniej połowy ciężaru, spoczywającego dotąd na moim sercu. Jednocześnie inna myśl ścisnęła moje gardło.

*Mieliśmy zrobić to razem. Mieliśmy robić razem wszystko, braciszku.*

Szum jadących samochodów i tętniącego życiem miasta dudnił mi w uszach. To było za dużo. Nie powinnam była wychodzić z domu. Wyjęłam z plecaka butelkę wody, biorąc z niej kilka małych łyków, by nawilżyć usta,

które w kilka sekund wyschły na wiór. Tym razem niewiele to pomogło. Gdzieś niedaleko mnie usłyszałam krzyki, które sprawiły, że rozejrzałam się dookoła. Po drugiej stronie ulicy stała para, która zawzięcie się o coś kłóciła. Żołądek ścisnął mi się w supel, gdy mężczyzna zaczął popychać kobietę, a ona skuliła drobną sylwetkę, szykując się na cios. Chciałam odwrócić wzrok, tak jak inni przechodnie, jednak nie potrafiłam. Nogi same poniosły mnie w ich kierunku.

– Sklep z aparatami słuchowymi jest dwie przecznice dalej – odezwałam się, gdy tylko znalazłam się przy nich.

Mężczyzna odwrócił się, a gdy zorientował się, że mówię do niego, spojrzał na mnie jak na kompletną kretynkę.

– Z czym?

– Z aparatami słuchowymi. Tak się pan drzesz, że musisz mieć jakieś ubytki.

Właśnie wpakowałam się w sam środek kłótni i pyśkowałam do faceta, który miał problem z panowaniem nad własnym gniewem. O czym myślałam, gdy postanowiłam działać? Jednak nie zamierzałam odpuszczać i zostawiać tej kobiety samej. Adrenalina zrobiła swoje, spychając atak paniki w odmęty mojej świadomości. Teraz czułam wyłącznie gniew.

– Spierdalaj – rzucił i odwrócił się do mnie plecami.

– Elokwentnie, nie ma co – sarknęłam bardziej do siebie niż do niego.

Facet puścił moją uwagę mimo uszu. Miliony myśli krążyły mi po głowie. Nie mogłam dać za wygraną.

Spotkałam się kiedyś ze stwierdzeniem, że nie należy się wtrącać, gdy widzi się przemoc. Większej głupoty w życiu nie słyszałam. Ludzie, którzy odwracają wzrok, podczas gdy innym dzieje się krzywda, niczym nie różnią się od przemocowców, którzy zadają komuś fizyczny ból.

– Czy mam zadzwonić pod numer alarmowy, żeby wskazali panu drogę?

Dziwiłam się, że głos mi nie zadrżał. Spoglądałam hardo w stronę mężczyzny, krzyżując ręce na piersi. Straciłam rezon, gdy i on zwrócił na mnie wzrok ciskający pioruny.

– Nie masz nic lepszego do roboty?

– Uwierz mi, mam. – Włożyłam rękę do plecaka, po omacku szukając telefonu, który już od dawna powinnam była trzymać w pogotowiu. – Dlatego będę wdzięczna, jeśli skorzystasz z własnej rady.

– Jakiej rady?

– Żeby spierdalać.

Koleś rozejrzał się zirytowany, jakby się zastanawiał, co zrobić w obecnej sytuacji. Po chwili, ku mojej ogromnej uldze, machnął ręką i zrobił kilka kroków w tył.

– Pogadamy innym razem – burknął na odchodne do kobiety.

Wsiadł naburmuszony do samochodu i odjechał. Jeszcze kilka chwil gapiłam się na połyskujący w słońcu lakier, po czym uklęknęłam przy nieznajomej, by pomóc jej zebrać rzeczy, które wysypały się z torebki.

– Wszystko w porządku? – zagadałam, podając jej kosmetyczkę.

– Tak, dziękuję – odpowiedziała cicho, wycierając łzy chusteczką. – Nie musiałaś tego robić. Ten facet jest stuknięty. Już dawno powinnam była wystąpić o zakaz zbliżania się.

– Ktoś z rodziny?

– Gorzej, mój były. Nie mam gustu, huh?

Uśmiechnęłam się delikatnie. Pozbierałyśmy z chodnika wszystkie przedmioty i po kolejnym zapewnieniu kobiety, że nic jej nie jest i da sobie radę sama, pobiegłam w stronę domu. Wpisałam kod, a za moment skryłam się w cieniu klatki schodowej. Przyjemny chłód owiał moją spoconą twarz, pozwalając mi na wzięcie kilku głębszych oddechów. Zaczęłam powoli wdrapywać się po schodach, a z każdym stopniem opuszczała mnie energia. Poczułam się jeszcze żałośniej, gdy uświadomiłam sobie, że wypad kilkanaście metrów od mieszkania pozbawił mnie sił. Dotarłam do drzwi i przekręciłam kluczyk.

Nagle za moimi plecami rozległ się głos, którego nie słyszałam od ponad dwóch lat:

– El, nie wierzę! Co ty tu robisz?